



*Ludka Skrzydłowska*

# ALL OVER ME

beyA.

*Prawda  
&  
Yarrow*

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Redaktor prowadzący: Justyna Wydra

Grafikę na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: [kontakt@beya.pl](mailto:kontakt@beya.pl)

WWW: [beya.pl](http://beya.pl)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

[beya.pl/user/opinie/spinpy](http://beya.pl/user/opinie/spinpy)

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-289-2196-2

Copyright © Helion S.A. 2025

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

# 1.

## *Josie*

Wcale nie jest źle.

Wcale nie chce mi się płakać.

Ani trochę.

Rączka mojej walizki jest śliska od potu. Ściskam ją tak kurczowo, jakby miała być moim jedynym kołem ratunkowym. Jakbym miała utonąć, jeśli puszcze ją chociaż na chwilę. Tak naprawdę nie grozi mi utonięcie, a co najwyżej pogryzienie na śmierć. Przez pluskwy.

Szczury.

Albo przez karaluchy.

Boję się wszystkich, ale najbardziej prawdopodobne wydają mi się te pierwsze. Powinnam chyba zamówić profesjonalną firmę zajmującą się dezynsekcją pomieszczeń, ale nie mogę tego zrobić. Mój ojciec przegląda wszystkie rachunki z konta bankowego, które założył mi, gdy byłam jeszcze w szkole średniej. Zobaczyłby rachunek albo wypłatę gotówki i zacząłby dopytywać, co się stało. Widział przecież mieszkanie, które planowaliśmy wynająć z Troyem, więc w życiu nie uwierzyłby, że jakaś firma musiała się stamtąd pozbywać pluskiew. W ogóle nie pozwoliłby mi w nim zamieszkać, gdyby wcześniej dokładnie go nie sprawdził, nie obszedł dziesięć razy i nie zajrzał do każdego możliwego zakamarka, by upewnić się, że jest wystarczająco dobre dla jego córeczki.

Ostrożnie siadam na łóżku, spodziewając się wręcz, że coś na mnie z niego wyskoczy. Nic takiego się nie dzieje, ale w końcu pluskiew zazwyczaj nie widać na pierwszy rzut oka. Wyjdą w nocy, kiedy wyłączę światło i położę się spać, a potem pogryzą mnie we wszystkie dostępne miejsca na moim ciele...

Stop. Nie będę o tym myśleć. Nie mogę, bo inaczej tu dzisiaj nie zasnę!

Drgam, gdy zza ściany dobiega mnie czyjś wrzask, a potem dołącza do niego drugi męski głos, i dwie osoby zaczynają się tam najwyraźniej kłócić. Tak, że cały budynek może ich słyszeć. Chyba się tym nie przejmują, bo awantura trwa przez dłuższą chwilę, aż w końcu coś z hukiem upada na podłogę i się tłucze.

Zaczynam rozumieć, dlaczego w oknie mojego pokoju jest krata.

Wyciągam telefon, gdy czuję wibracje w kieszeni dzinsów. To moja przyjaciółka i była współlokatorka.

### **Destiny: Jak tam, mała?**

Z Destiny, ciemnoskórą studentką zarządzania, poznałam się, gdy na pierwszym roku wprowadziłam się do akademika. Chociaż ona studiowała rok wyżej ode mnie, uparła się, by zostać w tym samym miejscu, przez co wylądowała ze mną w pokoju. Z nas dwóch to ona jest tą zwiariowaną i zakreconą, a ja tą rozważną i spokojną, ale obie lubimy czasami poimprezować i w jakiś sposób sprawiamy, że ludzie nas lubią. Pasujemy do siebie.

Teraz jednak Destiny wprowadziła się do mieszkania ze swoim chłopakiem, Santiago, i to nawet nie tak, że zostawiła mnie na lodzie – w końcu miałam mieszkać z Troyem. Umówiliśmy się. Ustaliliśmy to w czwórkę pod koniec ubiegłego roku. Destiny i Santiago są spoko, przenocowali mnie nawet parę dni na swojej kanapie, gdy Troy mnie wystawił, ale nie mogłam siedzieć u nich w nieskończoność, bo ich mieszkanie nie jest stworzone dla trzech osób. A znalezienie w Chester czegokolwiek już po rozpoczęciu roku akademickiego okazało się nie lada wyzwaniem.

Pieprzony Troy.

Z westchnieniem odpisuję przyjaciółce.

### **Josie: Wszystko w porządku.**

### **Destiny: Czy to kod dla „Przyjdźcie i zabierzcie mnie stąd NATYCHMIAST”?**

### **Josie: Naprawdę nie jest tak źle.**

Nie jestem pewna, czy bardziej okłamuję ją czy siebie, ale muszę się w tym wprawić, bo nie zamierzam mówić rodzicom, jak postąpił ze mną Troy. Mama zamartwiałaby się i natychmiast chciała rzucić wszystko, żeby tu przyjechać, a tata oznajmiłby swoje „A nie mówiłem” i zaraz zorganizował mi przeniesienie na UCLA.

### **Destiny: Nie wierzę ci. Na zdjęciach to mieszkanie wyglądało jak nora.**

## **Josie: Na żywo wygląda lepiej. Serio.**

Spoiler: na żywo wcale nie wygląda lepiej.

Właściwie to wygląda gorzej. Dużo gorzej. Wygląda tak, jakby właściciel przed chwilą wyrzucił stąd bezdomnego, żeby zaprosić studentkę, która przynajmniej zapłaci mu cokolwiek za wynajem. A wcale nie policzył sobie tanio.

## **Destiny: Nie chrzań, Jo.**

Problem w tym, że moja przyjaciółkę naprawdę trudno oszukać.

Odkładałam na chwilę komórkę i rozglądałam się dookoła. Mieszkanie, które wynajęłam, to właściwie pokój z łazienką. W tym jednym pomieszczeniu znajduje się aneks kuchenny składający się z szafki ze zlewem i niskiej lodówki, na której stoi mikrofała, a pod przeciwległą ścianą, tą z zakratowanym oknem, mieści się pojedynczy tapczan. W kącie upchnięto jeszcze turystyczny stolik i jedno rozkładane krzesło, a w wąskim wejściu – które właściciel szumnie nazwał przedpokojem – szafa straszy otwierającymi się ciągle drzwiami. Na podłodze znajduje się linoleum tak brudne, że z pewnością nie odważę się chodzić tutaj boso, a ściany wyglądają na malowane dziesięć lat temu. W jednym z rogów pokoju z sufitu odłazi farba i znajduje się tam sporych rozmiarów plama w niepokojąco dziwnym kolorze, a w drugim jakiś pająk uwił dzieło swego życia. Swoje *opus magnum*. Aż żal byłoby je niszczyć, więc pewnie mu je zostawię.

Chociaż myśl, że ciągle może być gdzieś w pobliżu, jest nieco niepokojąca.

No i jest jeszcze łazienka. W całości wykafelkowana płytkami w kolorze kupy z fugami tak brudnymi, że zapewne spędzę najbliższy weekend, czyszcząc je szczotką na kolanach. Znajduje się tam sedes z pękniętą deską, prysznic z brudną zasłonką, na której widok się wzdrygam, i umywalka na nóżce. Woda spływa w niej niepokojąco wolno. Nad nią jest jeszcze szafka z lustrem jak te, które zazwyczaj otwierają bohaterowie w horrorach, by po zamknięciu zobaczyć w odbiciu ducha.

Całość rozmiarem przypomina więzienną celę, ale naprawdę nie miałam wyboru. Chester to niewielkie miasto, za to tutejszy uniwersytet jest naprawdę duży. Żeby znaleźć coś fajnego do mieszkania, należy zacząć się rozglądać już na początku wakacji. I tak też zrobiliśmy z Troyem. A potem, cóż...

Potem Troy okazał się zdradzieckim kutasem, jak nazwała go Destiny, która bardziej niż ja nie przebiera w słowach.

**Josie: Przysięgam, że nie jest źle.**

Jest naprawdę, naprawdę źle.

**Josie: Tylko na razie moje książki muszą zostać u was, w porządku?**

**Josie: Nie bardzo mam tu na nie miejsce.**

Kimkolwiek byli poprzedni lokatorzy, na pewno nie książkarami jak ja, bo nie ma tu nawet pół regału. Z drugiej strony nie ma tu nawet kuchenki ani piekarnika, więc niby dlaczego spodziewałam się wygospodarowania miejsca na regał?

**Destiny: Twoje książki są u nas bezpieczne.**

**Destiny: I ty też możesz być. Na naszej kanapie.**

Znowu wzdycham. Chociaż bardzo bym chciała, nie mogę spędzić całego roku akademickiego na kanapie Des i Santiago.

**Josie: Tu też jestem bezpieczna. Słowo.**

W zasadzie nie wiem, dlaczego daję słowo w imieniu miejscowego elementu, który właśnie drze się za moją ścianą, ale niech będzie.

**Destiny: W porządku, na razie ci odpuszczę.**

**Destiny: W końcu sama stamtąd uciekniesz.**

**Destiny: A na razie noś ze sobą ten gaz pieprzowy, kiedy wychodzisz na zewnątrz.**

Des rzeczywiście dała mi gaz pieprzowy, zanim się wyprowadziłam. Właściwie to kupił go Santiago. Zaniepokoił się, kiedy usłyszał, w jakim miejscu będę mieszkać. Podobno to niebezpieczna dzielnica czy coś.

Widząc kraty w oknie mojego pokoju, właściwie jestem skłonna się z nim zgodzić.

Mam ochotę się rozplakać, ale przecież wszystko jest w porządku. Jest totalnie w porządku. Na pewno nie stanie mi się tu nic złego i nie pogryzą mnie żadne pluskwy. Na pewno właściciel zdezynfekował to miejsce przed moim przyjazdem, prawda?

Sądząc po zapachu stęchlizny, nie liczyłabym na to.

*Cóż, zawsze mogło być gorzej*, dochodzę do wniosku, wstając, by wyjąć z walizki przynajmniej część moich rzeczy. Zawsze mogło mi się lać z sufitu na głowę, a biorąc pod uwagę, że mieszkam na parterze, raczej

mi to nie grozi. Podobnie jak popsuta winda. A mały metraż oznacza, że będą miała mniej do sprzątanania. Zamówię jakąś roletę do okna, zmienię materac na łóżku, założę nową zasłonkę prysznicową, postawię kilka kwiatków i od razu zrobi się przytulniej. Nie podpisałam żadnej oficjalnej umowy, a zapłaciłam jedynie za miesiąc z góry, więc cały czas będę szukać czegoś innego i jeśli trafi się jakaś lepsza okazja, natychmiast stąd ucieknę. A na razie...

Może po prostu nie będę wychodzić po zmroku.

I zacznę zostawiać samochód w takim miejscu, żeby żaden lokalny złodziej się na niego nie połaśli.

Zawieszam moje sukienki na wszystkich trzech wieszakach w szafie – kolejna rzecz, którą muszę kupić – a potem przebieram się w strój do joggingu, uznając, że trochę ruchu mi się przyda. Przebiegnę się na kampus, do biblioteki, wypożyczę zadaną lekturę i wrócę spacerem. A po drodze kupię coś do jedzenia na wynos, bo doprawdy nie wiem, jak gotować, mając do dyspozycji jedynie lodówkę i mikrofalówkę.

Wkładam legginsy i sportowy stanik, związuję moje długie blond włosy w kitkę na czubku głowy i sznuruję buty do biegania. Do kieszonki wsuwam jedynie klucz i telefon, na uszy zakładam słuchawki i już po chwili opuszczam mój *apartament*.

Na klatce schodowej śmierdzi stęchlizną i starym olejem. Z piętra nade mną po schodach właśnie stacza się jakiś łysy, wytatuowany gość w obcisłym podkoszulku, więc czym prędzej czmycham na zewnątrz.

Mój samochód na szczęście wciąż stoi na parkingu obok bloku, który również pod względem elewacji prezentuje się tak, jakby opuszczono go w ubiegłym wieku. Właściciel raczej niespecjalnie przejmuje się tą nieruchomością, ale co w tym dziwnego, skoro stoi w części miasta, gdzie większość budynków tak wygląda. Jedyne sklepy w okolicy to monopolowy, a w oddali słyszę syrenę policyjną, która prawie nigdy nie cichnie.

Urocz.

Włączam muzykę z telefonu, ale zanim dobrze się rozpędzę, żeby wybiec z tej dzielnicy, moja komórka się rozdzwania. Ponieważ tylko dwie osoby na świecie wolą do mnie zadzwonić, niż napisać wiadomość, od razu wiem, że to któraś z nich. Odbieram, nie wyjmując słuchawek z uszu.

– Cześć, kochanie – słyszę w nich kojący głos mamy. – Dawno się nie odzywałeś, wszystko w porządku?

Dzięki Bogu, że rodzice mają jeszcze Forda, bo gdyby nie mój młodszy braciszek, dopadłby ich syndrom pustego gniazda. Mimo to troska taty jest czasami nieco przytłaczająca.

– Tak, wszystko okej, mam – odpowiadam, uśmiechając się z trudem, bo wiem, że usłyszysz ten uśmiech w moim tonie. Mam ochotę się rozplakać, zwłaszcza że jej głos przychodzi mi na myśl bezpieczeństwo rodzinnego domu, ale muszę robić dobrą minę do złej gry. Jeśli się dowie, co się stało, natychmiast wypała wszystko tacie, a ten przyleci tu w ciągu pięciu sekund, choćby miał w tym celu wynająć prywatny odrzutowiec. – Przepraszam, że nie dzwoniłam, byłam zajęta na uczelni.

– Dopiero początek roku, a oni już was cisną, co? – śmieje się. – A co tam u Troya? Też ma tyle zajęć?

– Wiesz, jak to on – odpieram wykrętnie. Nienawidzę oszukiwać moich rodziców, tym bardziej że to najlepsi ludzie na świecie. Ale jeszcze bardziej nienawidzę ich martwić. – Ciągłe ma te swoje treningi. Trener w tym sezonie daje im popalić.

W ubiegłym roku drużyna koszykarska straciła z pół składu przez tę aferę z gwałtem na Amy Clarke, więc Troy dwoił się i troił, by zastąpić ich najlepszego gracza. Teraz prawie nie jest mi go żal, zwłaszcza że nie mam już pewności, ile z jego zapewnień o kolejnych treningach było prawdą.

– A jak wam się razem mieszka? – ciągnie mnie za język mama. – Nie macie żadnych spięć?

– Czasami. – Śmieję się wymuszenie. – No wiesz, Troy nie lubi po sobie zmywać. Ani sprzątać.

– Nie próbuj być jego służącą, Josie – uprzedza stanowczo. – On ma takie same dwie ręce jak ty. Nie musisz koło niego skakać.

– Mając taki przykład jak ty i tata, myślisz, że skakałabym wokół faceta? – pytam z rozbawieniem. – Przecież to raczej tata skacze wokół ciebie.

Było tak, odkąd się poznali, a pamiętam to dość dobrze, bo miałam wtedy już siedem lat. Reese zaczęła jako moja opiekunka, a skończyła jako mama i żona taty. Chociaż rodziny się nie wybiera, ja wybrałam ją od razu i okazało się, że przeczucie mnie nie myliło.

– I słusznie – potwierdza ciepło. – Nigdy nie wątp, że zasługujesz na cokolwiek mniej niż właśnie to, kochanie.



Chciałabym być równie pewna jej słów, co ona, ale niestety – nigdy tak nie było. Nawet jeśli dość dobrze ukrywam to przed wszystkimi.

Wypytyuję ją jeszcze o nowinki z domu i o Forda, a potem żegnam się z nią obietnicą, że będę się częściej odzywać. Kiedy wreszcie kończę rozmowę, wzdycham, przytłoczona wyrzutami sumienia. Nigdy wcześniej aż tak nie kłamałam własnej mamie.

Ale próbuję ich jedynie chronić. Mam to we krwi. Robiłam tak, odkąd miałam siedem lat.

Później będę się martwić tym, kiedy powiedzieć im o rozstaniu z Troyem i przeprowadzce.

Na razie trochę pobiegam.

## 2.

### *Parker*

Wieczorny jogging to nie jest coś, co zazwyczaj robię po dniu wypełnionym treningami i zajęciami, ale dzisiaj nie mogę usiedzieć w miejscu i potrzebuję trochę się rozładować.

Na szczęście moich współlokatorów nie ma w domu, żeby zaczęli mi truć dupę, że niepotrzebnie się forsuję. Wiem to i bez nich. Ciągłe wymagam od siebie więcej i więcej, ale to dlatego, że wszyscy dookoła ciągle wymagają ode mnie więcej i więcej. To niekończąca się spirala. Czasami odnoszę wrażenie, że zbyt wiele osób zbyt wiele ode mnie wymaga, a wtedy jogging pomaga mi oczyścić umysł i przypomnieć sobie, po co to wszystko robię.

Abraham dał nam dzisiaj niezły wycisk, ale to nic nowego – dzieje się to od początku sezonu, bo z nowym trenerem wciąż nie czujemy się tak pewnie jak ze starym. Trenujemy jeszcze częściej i jeszcze bardziej forsownie, aż prawie nie zostaje mi czasu na życie prywatne, kiedy jeszcze doda się do tego naukę. Ostatnio brakuje mi nawet chwili, żeby umówić się z jakąś dziewczyną, a ostatnią miałem... już nawet nie pamiętam jak dawno. Zresztą to bez różnicy, że odeszła. I tak nie byłaby na stałe. Dała mi to jasno do zrozumienia.

Odruchowo biegnę w stronę kampusu, gdy na moim smartwatchu zaczynają się pokazywać powiadomienia. To moi kumple i współlokatorzy.

**Vance: Parker, co, do diabła, powiedziała Naomi?**

**West: A co słyszałeś?**

**Vance: Rozpowiada jakieś plotki.**

**West: Na nasz temat?**

**Vance: Nie, kurwa, na temat kółka różańcowego.**

Naomi to moja była, ta, która mnie zostawiła po tym, jak jej powiedziałem, dlaczego nie możemy „pogłębić naszej relacji”. Cóż, może należało to najpierw przegadać z chłopakami, ale to przecież żadna tajemnica, prawda?

A może jednak.

Wyciągam komórkę i nie przestając biec ku bibliotece, odpisuję pośpiesznie.

**Parker: Co takiego słyszałeś?**

**Vance: Że urządzamy w naszym domu orgie.**

Parskam śmiechem, choć po tonie współlokatora domyślam się, że on jest raczej wkurzony. Ale serio. Co go to obchodzi, co myślą o nas ludzie w Yarrow?

System plotkarski nie działa tu już tak dobrze jak kiedyś, gdy jeszcze strona TAY dostarczała najświeższych newsów. Żadna afera nie będzie tu już tak rozdmuchana jak ta zeszłoroczna z naszym trenerem. Więc w sumie... co za różnica?

**Parker: Wow, nie wiedziałem, że jesteście tacy ciekawi.**

**Vance: To nie jest zabawne, debil.**

**West: Właściwie to trochę jest. Chciałbym mieć na tyle jaj i chętnych, żeby urządzić w naszym domu orgię.**

Jasne.

**Parker: O ile ktoś załatwiłby to za ciebie, bo sam jesteś za greczny, żeby cokolwiek zrobić w tym kierunku.**

**West: Powiedz to Naomi.**

**Vance: Przestańcie! Pomyślcie lepiej, jak to odkręcić.**

**Parker: Urządzmy imprezę. Ludzie przyjdą, zobaczą, że nie ma orgii, i się rozczarują.**

**West: Dlaczego właściwie Naomi myślała, że urządzamy orgie? Brała kiedyś w jakiejś udział?**

**Vance: Zakładam, że powiedziała coś innego, tylko rozdmuchano to po drodze.**

Właśnie dlatego TAY był lepszym źródłem informacji niż standardowe uczelniane plotki. Ona przynajmniej czerpała wiadomości ze źródła.

**Vance: PRAWDA, Parker?**

Wzdycham. Dlaczego, gdy zdarzy się coś takiego, podejrzenia padają od razu na mnie? Przecież potrafię trzymać język za zębami. Wspomniałem o tym Naomi tylko dlatego, że liczyłem...

Ale cóż, to było głupie. Naprawdę głupie. Nigdy więcej nie powinienem otwierać się przed dziewczyną, którą znam od kilku tygodni.

**Parker: PRAWDA, kutasie.**

Muszę pogadać z Naomi i dowiedzieć się, co takiego dokładnie potwórzyła i komu. Pewnie nie jest tak źle. Głupie plotki jeszcze nikogo nie wywaliły z uczelni ani z drużyny futbolowej.

Chyba...

Właśnie ponownie zerkam na telefon, by odczytać wiadomości od kumpli, gdy nagle zderzam się z kimś, aż zataczam się do tyłu. Słyszę pisk i dostrzegam, jak ktoś obok mnie pada na ziemię. Nie zdążam jej złapać, a przy tym sam tracę równowagę i gdybym nie oparł się o ławkę, też wylądowałbym na chodniku.

Przez sekundę patrzę na nią jak oniemiały. Przede mną na betonie klęczy Josie Maxwell-Spencer.

Zdumienie powoduje, że dopiero po chwili gapienia się na nią jak debil rzucam się na pomoc. Klękam obok niej i chwytam ją za ramię, przytrzymując, gdy przenosi ciężar ciała na stopy i siada ciężko na chodniku. Wtedy zauważam, że jedno z kolan zdarła sobie do krwi i że ma dziurę w sportowych legginsach.

– Kurwa – wyrывa mi się. – Nic ci nie jest?

Patrzy na mnie jak na idiotę i w sumie słusznie. Przecież widzę, że z kolana leci jej krew!

Znowu tracę na moment kontakt z rzeczywistością, bo Josie ma najbardziej niebieskie oczy, jakie w życiu widziałem. Ma też niesamowitą burzę blond włosów, obecnie związanych w nieporządny koński ogon, i słodką, opaloną twarz dziewczyny z sąsiedztwa. Kiedy się uśmiecha, robi to tak promiennie, że zaraża tym wszystkich, którzy na nią spojrzą. Jest niewysoka i drobna, przez co nawet ja, chociaż jej nie znam, pragnę się nią zaopiekować za każdym razem, gdy ją widzę.

A widywałem ją w zeszłym roku kilkakrotnie, głównie na imprezach bractwa. Zazwyczaj pojawiała się na nich u boku tego idioty, St Johna, a że nie mam w zwyczaju odbijać cudzych dziewczyn, trzymałem się z daleka. W przeciwieństwie do połowy kampusu. Wszyscy w Yarrow uwielbiają Josie.

Nic dziwnego, bo nie tylko wygląda słodko, lecz także taka jest.

– Przepraszam – szepcze. – Zagapiłam się.

*Ona się zagapiła?*

– To moja wina – protestuję natychmiast. – Biegłem, gapiąc się w telefon, i dlatego na ciebie wpadłem. To ja przepraszam.

– Nic się nie stało. – Próbuje się uśmiechnąć, ale w oczach stają jej łzy. Kolano musi ją naprawdę boleć. – Jeśli pomożesz mi wstać, to będziemy kwita.

Jeśli ona myśli, że ją tu teraz zostawię, to jest w błędzie.

Posłusznie wstaję i chwytam ją za ręce, żeby wywindować ją do pozycji pionowej. Josie się podnosi, ale krzywi wyraźnie, gdy musi oprzeć się na zranionej nodze. Krew leje się jeszcze mocniej, a ja wreszcie zaczynam rozumieć, że bez apteczki się nie obejdzie. Znajduję w trawie mój porzucony telefon, a potem do niej wracam.

– Trzeba to zdezynfekować i opatrzyć – mówię stanowczo. – Niedaleko jest biblioteka, mają tam apteczkę. Chodź.

Chwytam ją za nadgarstek i chcę pociągnąć w odpowiednim kierunku, ale ona się opiera. Zerkam na nią zdziwiony, a Josie posyła mi łagodny, zakłopotany uśmiech.

– Dziękuję, ale sobie poradzę – mówi. – Nie musisz...

Ponieważ widzę, że wyraźnie ma problem ze staniem na lewej nodze, bez namysłu biorę ją na ręce i ruszam z nią w kierunku biblioteki. Josie wydaje z siebie kolejny pisk i chwytam mnie odruchowo za szyję, ale potem rzuca mi coś, co według niej jest zapewne ostrym spojrzeniem. Cóż... mnie nie oszuka.

– Co ty robisz? – pyta zdziwiona. – Puść mnie!

Zaskakująco przyjemnie niesie się Josie Maxwell-Spencer do biblioteki. Jest mała i niewiele waży, a jej sarnie niebieskie oczy robią się jeszcze większe, gdy wpatruje się we mnie z oszołomieniem. Mógłbym to robić częściej.

*Ona ma chłopaka*, przypomina mi jakiś głos w głowie. To chyba resztki mojego sumienia.

Na razie radośnie je ignoruję. Przecież nie robię nic złego, prawda?

– Słoneczko, ledwie mogłaś stanąć na tej nodze – odpowiadam łagodnie. – Oszczędziłem nam kilkuminutowej dyskusji, podczas której protestowałabyś przeciwko wzięciu cię na ręce, a ostatecznie byś skapitulowała, i przeszedłem od razu do działania. Bo wolałbym, żeby w tym czasie nie wdało ci się zakażenie.

– To przebijaj zwawiej tymi nogami, bo inaczej nie zdążysz przed zarazkami – odpiera cierpko.

Parskam śmiechem i otwieram ramieniem drzwi biblioteki. Jest już dosyć późno, dlatego na szczęście po drodze nie spotkaliśmy żadnego ze studentów. Inaczej jutro do plotek na temat mnie i moich współlokatorów dołączyłyby też te, że demoralizujemy najbardziej niewinną dziewczynkę na tej uczelni.

Och, tak, założę się, że Josie miałyby takie samo zdanie na nasz temat co Naomi, gdybym cokolwiek jej powiedział.

Stawiam ją dopiero w głównym holu, tuż przy krzesłach ustawionych pod jedną ze ścian. Pomagam jej dojść do jednego z nich, a potem ruszam do stanowiska ochrony po apteczkę. Wydają mi ją bez sprzeciwów, gdy tylko wskazuję im Josie siedzącą samotnie pod ścianą. Wygląda tak żałośnie, że ochroniarze aż robią się podejrzliwi w stosunku do mnie.

Może uznali, że ją biję.

Wracam do niej szybko. Na szczęście rana nie jest specjalnie brudna. Zerkam na jej legginsy; wyglądają na dość kosztowne.

– Mogę uciąć nogawkę? – pytam, klękając przy jej nodze. – I tak są do wyrzucenia.

Josie macha lekceważąco ręką.

– Tnij.

– Obiecuję, że nie będzie bolało – mówię miękko, a potem z pomocą nożyczek pozbywam się nadmiaru materiału.

Na szczęście środek dezynfekujący jest z rodzaju tych, których w ogóle nie czuć na ranie. Aplikuję go Josie, a potem sprawnie zakładam opatrunk. Dziewczyna przygląda się temu szeroko otwartymi oczami.

– Wow – komentuje w końcu. – Masz zręczne palce.

Uśmiecham się idiotycznie.

– Nie tylko podczas pierwszej pomocy, słoneczko.

Przewraca oczami, ale na jej ustach igra lekki uśmiech. Przez sekundę jeszcze gładzę jej nogę, szukając innych obrażeń, ale nic więcej nie widzę, dlatego w końcu chowam resztę utensyliów do apteczki, cofam się i wstaję na nogi.

– Parker Lane – przedstawiam się, wyciągając do niej dłoń. – Przepraszam, że od tego nie zacząłem, ale okoliczności nie były sprzyjające.

Uśmiecha się do mnie nieśmiało i podaje mi rękę. Jest taka malutka w moim uścisku.

– Josie Maxwell-Spencer – przedstawia się, jakby istniał na kampusie ktoś, kto jej nie kojarzy. – I nic się nie stało. Grasz z Santiago w drużynie futbolowej?

Akurat z Santiago? Ciekawy dobór słów.

– Owszem – potwierdzam dumnie. – Już od zeszłego roku. Z Santiago, ale też z Foxem, Devonem i Haze'em.

Kiwa głową, ale nie odpowiada. W końcu orientuję się, że wypadałoby ją puścić, więc pospiesznie cofam rękę i chyba zauważam na jej policzkach cień rumieńca. Może jest jej głupio, że tak mnie trzymała...

W końcu ma chłopaka. Troya pieprzonego St Johna.

– Dzięki za pomoc – mówi w końcu cicho. – Muszę iść do biblioteki, tak że było miło cię poznać...

– Odwiozę cię do domu – wtrącam nagle.

Josie mruga zaskoczona. Wygląda z tą miną naprawdę uroczo, zwłaszcza gdy kilka pasm blond włosów wymyka jej się spod gumki i rozsypuje dookoła twarzy.

– Nie musisz...

– Ale chcę – przerywam jej stanowczo. – To przeze mnie upadłaś. Biegłaś tu, więc zapewne wybrałaś się na jogging jak ja. Idź do biblioteki i załatw książki, a ja w tym czasie przyprowadzę samochód. Mieszkam niedaleko, obrócę w parę minut.

Mentalnie trzymam kciuki, żeby się zgodziła. Wiem, że ma chłopaka, ale przecież nie dążę do niczego romantycznego. Po prostu... Josie taka już jest. Jak chodzące słońce. A kto nie chciałby się ogrzać jego promieniami?

Widzę, jak się waha, ale w końcu niepewnie kiwa głową.

– Jeśli mówisz poważnie, to chętnie – mówi cicho. – Mieszkam kawałek od kampusu i... to znaczy blisko na jogging, ale na spacer z rozwaloną nogą niekoniecznie. Więc... jeśli to naprawdę nie problem...

Jezu, uszkodziłem tę dziewczynę, a ona teraz mnie pyta, czy nie robi mi problemu. Co jest z nią nie tak?

– Oczywiście, że nie – wchodzę jej w słowo. – Będę z powrotem za parę minut. Nie uciekniesz mi, prawda?

Kręci głową i uśmiecha się łagodnie, więc wycofuję się czym prędzej i wychodzę z biblioteki. Pędzę do domu po kluczyki od auta, zachowując się jak kompletny debil. Czy na mnie też podziałał urok zagubionej sarenki?

Kurwa, no raczej, że tak.

### 3.

## *Josie*

Noga boli mnie jak cholera. Rozmawiam wesoło z Margaret, bibliotekarką, gdy ta kładzie przede mną na kontuarze odpowiednie książki. Dziękuję jej, życzę dużo zdrowia synowi i kuśtykam z powrotem do holu, trzymając w rękach lektury.

Nie jestem pewna, czy Parker naprawdę się pojawi. Wydawał się szczerzy i poważny, ale to facet, więc kto go tam wie. Nie jestem najlepszą osobą do oceny ich prawdomówności, biorąc pod uwagę przypadek Troya. Wiem jednak, że z tak bolącą nogą nie dojdę do domu pieszo, dlatego muszę liczyć na to, że jego chęć niesienia pomocy była szczerza.

Siadam ciężko na krzeselku w holu i przyglądam się swoim zniszczonym lululemonom. Tata chętnie kupi mi nowe, ale nie obejdzie się przy tym bez pogadanki na temat odpowiedzialności i uważania na siebie. Biegłam tą alejką jak ostatnia idiotka. W ogóle nie patrzyłam, dokąd zmierzam. Wciąż miałam lzy w oczach po rozmowie z mamą i tak bardzo chciałam do domu, że zupełnie przestałam zwracać uwagę na otoczenie. Dobrze jednak, że Parker tego nie zauważył i wziął winę na siebie, choć nadal czuję z tego powodu wyrzuty sumienia.

A on jeszcze chce mnie odwozić do domu...

Mija kilka minut, zanim chłopak znowu pojawia się w drzwiach. Na jego widok trochę zapiera mi dech w piersiach. Jest wysoki, wysportowany i cudownie umięśniony, co podkreśla jego obcisła koszulka termoaktywna. Ma brązowe, nieco za długie włosy, które wiją mu się na karku, oczy w kolorze whisky i ciepły, uspokajający uśmiech. To niesamowity przystojniak.

Z tego, co o nim wiem, studiuje na roku z Santiago, co oznacza, że jest ode mnie o rok starszy. Co i tak nie ma żadnego znaczenia, bo



nieważne, jaki byłby cudowny, po Troyu obiecałam sobie, że kończę z facetami. Przynajmniej na najbliższy rok.

Najpierw muszę zastanowić się, jak w ogóle powiedzieć rodzicom, że związek, dla którego przeprowadziłam się na drugi koniec kraju, się rozpadł.

– Mam nadzieję, że długo nie czekałaś. – Parker obdarza mnie oszłamiającym uśmiechem, podchodząc bliżej. Bawi się kółkiem od kluczy, obracając je wokół palca, i obrzuca mnie uważnym spojrzeniem. – Nie będziesz płakać, prawda?

Zamiast tego parskam śmiechem.

– Nie, nie będę – obiecuję. – Przepraszam. Mam wysoki próg bólu.

– Prześńań przepraszają, słoneczko. – Wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać. Drugą zabiera mi z kolan książkę. – Dobra, idziemy. Zaparkowałem tuż przed wejściem, jeśli dostanę mandat, ty płacisz. – Mruga do mnie.

Nie mogę przestać się uśmiechać, bo chociaż ten dzień jest naprawdę kiepski, spotkanie kogoś takiego jak Parker Lane skutecznie wymazuje wcześniejsze niemiłe wydarzenia. Z trudem kuśtykam do wyjścia, podpierana przez niego, a jego duża dłoń na moich plecach budzi dziwne uczucia. Uczucia, których nie powinnam mieć kilka tygodni po zerwaniu z Troyem.

Biorę się w garść, gdy przypominam sobie, że muszę podać Parkerowi mój adres, jeśli chcę, żeby odwiózł mnie do domu. Może mogłabym go poprosić o wysadzenie kilka przecznic wcześniej, ale nie znam tutejszych nazw ulic na tyle, by mu coś naściemniać. Od razu robi mi się głupio, chociaż to nie moja wina, że nie znalazłam lepszego miejsca do zamieszkania.

Przed wejściem do biblioteki stoi sporych rozmiarów srebrna tesla. Spoglądam ze zdziwieniem na Parkera, bo zupełnie nie wygląda na faceta, który kupiłby elektryka, a on robi zakłopotaną minę.

– To auto mojego współlokatora – mamrocze. – Na razie nie mam swojego.

Kiwam głową i pozwalam mu się poprowadzić do auta. Może powinienam się zastanawiać, czy wsiadanie do samochodu chłopaka, którego de facto nie znam, jest bezpieczne, ale z jakiegoś powodu nie mam wątpliwości. Spędziłam mnóstwo czasu u terapeuty, przepracowując moje traumy z dzieciństwa, aż zaczęłam na nowo ufać ludziom. Troy jedynie odrobinę nadszarpnął to zaufanie i to w inny sposób. Poza tym Santiago

zna Parkera i z tego, co pamiętam, zawsze raczej dobrze się o nim wypowiedział.

Na wszelki wypadek wyciągam jednak telefon i piszę szybką wiadomość do przyjaciółki.

**Josie: Wpadłam pod biblioteką na Parkera Lane'a. Dosłownie. Odwozi mnie do domu, bo uszkodziłam sobie kolano.**

**Destiny: NA KOGO???**

**Josie: Na Parkera Lane'a. Znasz go?**

**Destiny: Za dużo ploteczek na wiadomość**

**Josie: Ale nie wsadzi mnie do bagażnika i nie wywiezie do lasu, żeby mnie zamordować, poćwiartować i zakopać pod kamieniem?**

**Destiny: *Weirdly specific.***

**Destiny: Powinnaś przestać czytać tyle kryminałów**

**Destiny: Parker jest spoko, ale lepiej się do niego za bardzo nie zbliżaj**

**Destiny: Wytlumaczę później!**

No dobra, to nie zabrzmiało specjalnie zachęcająco. Mimo to uśmiecham się do chłopaka, gdy ten wsiada za kierownicę i sprawnie wyjeżdża spod biblioteki.

– Dałaś znać chłopakowi, że jedziesz do domu? – pyta od niechcienia.

Marszczy brwi. Skąd Parker Lane wie, że mam chłopaka? I dlaczego w takim razie nie słyszał, że się rozstaliśmy?

– Dałam znać przyjaciółce – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Tak na wszelki wypadek, gdybyś okazał się psychopata, który zakopie mnie w lesie pod kamieniem.

Parker parska śmiechem.

– Nie wydajesz się specjalnie przejęta taką ewentualnością.

– Bo nie wyglądasz na psychopatę.

– Psychopaci dobrze się maskują. – Mruga do mnie, a potem wraca wzrokiem do jezdni i poważnieje. – Zapnij pas, słoneczko, bardzo proszę.

Ups. Rzeczywiście zapomniałam o pasie bezpieczeństwa. Byłam tak zaafierowana rozmową z Des, że mi to umknęło, chociaż nigdy nie umykają mi takie rzeczy. Jak to dobrze, że w razie czego Parker wolałby nie mieć mojego życia na sumieniu.

Zapinam pas, a kiedy mój towarzysz pyta mnie o adres, bezmyślnie podaję mu ten prawdziwy. Marszczy brwi.

– Naprawdę tam mieszkasz? – dopytuje z niedowierzaniem. – Z tym swoim chłopakiem? Chodzisz z Troyem St Johnem, prawda?

Krzywię się. Myślałam, że wieść o naszym rozstaniu dotarła już do wszystkich na kampusie, ale najwyraźniej nie. Nawet cieszyłam się, że Troy zaczął natychmiast obnosić się ze swoją nową zabawką, przez co nie musiałam niczego tłumaczyć ludziom. Dlaczego Parker nie może być jak inni i po prostu o tym wiedzieć?

Santiago nic mu o mnie nie wspominał? W końcu przez kilkanaście ostatnich dni spałam na jego kanapie.

– Już nie – odpowiadam cierpko. – Rozstaliśmy się.

Parker robi taką minę, jakby zupełnie nie spodziewał się tej odpowiedzi i było mu głupio.

– O kurde – wrywa mu się. – Przepraszam. Nie chciałem... Przykro mi. Wzruszam ramionami.

– W porządku, nic się nie stało – zapewniam i głos drży mi tylko odrobinę. W końcu Troy był moim pierwszym prawdziwym chłopakiem i jego utrata nadal boli, nawet jeśli nie zamierzam więcej nawet rozmawiać z tym palantem. – Po prostu myślałam, że wszyscy o tym wiedzą. Musiałam się przeprowadzić, gdy Troy mnie rzucił. Pewnie mam o sobie zbyt wysokie mniemanie, sądząc, że Santiago mógł o mnie opowiadać. Nocowałam u niego przez ostatnie tygodnie.

Parker wdeptuje gwałtownie hamulec, w ostatniej chwili zatrzymując się na światłach. Szarpie mną do przodu, ale blokuje mnie pas bezpieczeństwa. Jednak dobrze, że go zapięłam.

– Przepraszam – rzuca Parker, a potem dodaje dziwnym tonem: – U Santiago?

– No tak – potwierdzam spokojnie. – Chodzi z moją przyjaciółką, mieszkają razem. Może ją kojarzysz, ma na imię Destiny.

Przez chwilę Parker wygląda tak, jakby próbował sobie coś usilnie przypomnieć, a potem w końcu z ulgą kiwa głową.

– Ach, tak, jasne – mamrocze. – Wybacz, ostatnio jestem mocno pochłonięty treningami i uczelnią i nie dociera do mnie nic z zewnętrznego świata. Inaczej na pewno bym wiedział i nie zadawał nietaktownych pytań...

Przerywam mu parsknięciem śmiechem.

– Daj spokój, Parker, nie musisz mnie za to przepraszać – zapewniam z rozbawieniem. – Nie musisz wiedzieć, co się dzieje w życiu uczuciowym każdej laski w Yarrow.

Parker przez chwilę wygląda tak, jakby walczył ze sobą, żeby czegoś nie powiedzieć, ale w końcu kiwa głową i ostatecznie się nie odzywa. Zapada między nami chwilowa cisza, która bynajmniej nie jest kępująca. Dobrze się czuję w jego towarzystwie, ale to w zasadzie nic dziwnego. Zawsze lepiej dogadywałam się z chłopakami niż z dziewczynami. Destiny jest moją pierwszą prawdziwą przyjaciółką.

W pewnym momencie słyszę, jak mój żołądek zaczyna burczeć z głodu, i przypominam sobie, że po drodze do domu planowałam kupić coś na wynos w jednej z knajp. Niestety przez panującą w samochodzie ciszę Parker wszystko słyszy i teraz zerka na mnie kątem oka, wyraźnie zafrasowany.

– Kiedy coś ostatnio jadłaś, słoneczko?

To głupie przewisko powinno mnie wkurzać, zwłaszcza w ustach niemalże obcego chłopaka, ale z jakiegoś powodu tak nie jest. Może dlatego, że brzmi tak pieszczotliwie. Chwytam się za żołądek.

– Och... nie pamiętam – próbuję go spławić, ale Parker sobie na to nie pozwala.

– Musisz pamiętać – upiera się. – A już twój żołądek na pewno pamięta, bo daje ci do zrozumienia, że zbyt dawno temu. Może chcesz, żebym się zatrzymał, to kupisz coś po drodze?

Uśmiecham się do niego słabo.

– Nie chcę ci robić kłopotu – protestuję. – Już i tak odwozisz mnie do domu...

– Josie, daj spokój – przerywa mi z rozbawieniem. – Wpadłem na ciebie i rozwalilem ci kolano, bo gapiłem się w telefon. Zawiezenie cię do domu i zapewnienie posiłku to najmniej, co powinienem zrobić. Właściwie to upieram się, żebyś pozwoliła mi zapłacić. Po drodze jest taka ekstra knajpka z makaronami na wynos. Lubisz?

– Makarony? Czy istnieje normalny człowiek, który nie lubi makaronu? – pytam z niedowierzaniem, ale zaraz potem wracam z rozmową na właściwe tory. – Dobra, słuchaj, to przynajmniej pozwól mi zapłacić i daj się zaprosić na jedzenie w ramach podziękowania. Nie musimy brać na wynos. Możemy zjeść w knajpce.

Przecież nie wpuszczę go do mojej nory po bezdomnym. Parker Lane wygląda na faceta, który na widok tego pokoju uciekłby gdzie pieprz rośnie.

Właściwie dziwię się samej sobie, że ja nie uciekłam. W końcu wychowywałam się w dobrobycie, żeby nie powiedzieć w luksusie. Mój tata prowadzi sieć hoteli na Zachodnim Wybrzeżu i na Hawajach, a mama jest wziętą psychoterapeutką. Nigdy nie brakowało mi niczego i nie jestem przyzwyczajona do takich warunków jak w mojej nowej celi więziennej. Może dlatego tak chciało mi się płakać, kiedy zobaczyłam nowe lokum, ale... jakoś dam radę.

Zawsze daję radę.

Parker waha się, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. Nagle robi mi się głupio. Dlaczego zapraszam obcego chłopaka na makaron? Może on wcale nie ma na to ochoty? Może ma dziewczynę? Może ma chłopaka? Może ma lepsze rzeczy do roboty niż jedzenie w moim towarzystwie?

Wmawiam sobie, że po prostu usiłuję być miła. Nie kryje się za tym nic więcej.

Ale czy na pewno?

– Mam dzisiaj jeszcze kilka rzeczy do zrobienia – mamrocze w końcu, a ja odnoszę dziwne wrażenie, że to brzmi jak wymówka. – Ale chętnie innym razem, dobrze? Dzisiaj tylko upewnijmy się, że nie padniesz z głodu.

Uśmiecham się do niego słabo i kiwam głową, ale nie odpowiadam, nie chcąc, żeby zauważył, że jest mi przykro. Właściwie nie wiem czemu. Przecież to przystojny facet, na pewno jest przyzwyczajony, że laski się na niego rzucają. Pewnie ma lepsze plany na wieczór niż spędzanie czasu z kimś takim jak ja. Ja... jestem tylko Josie.

I już dawno się nauczyłam, że nie zawsze mogę być dla każdego pierwszym wyborem.

Kiedy w końcu wraz z moim apetycznie pachnącym makaronem zajeżdżamy pod budynek, w którym mieszkam, Parker robi wielkie oczy. Gapi się przez moment na dom, a potem przenosi wzrok na mnie.

– Które mieszkanie jest twoje?

Wskazuję zakratowane okno na parterze, wychodzące na ulicę. Mój towarzysz wygląda tak, jakby miał się zaraz stąd ewakuować, dlatego odpinam pas i otwieram drzwi samochodu. Lepiej nie zatrzymywać go zbyt długo.

– No cóż... dzięki za podwózkę – mówię, sięgając po książki, zanim on zdąży to zrobić. – I za pomoc. I za wszystko!

– Josie, zaczekaj... – mówi Parker, ale już zatrząskuję drzwi auta i uśmiecham się do niego ostatni raz.

Przebiegam przez ulicę, zanim zdąży mnie zatrzymać, i znikam za obdrapanymi drzwiami mojej kamienicy.

Do samego końca czuję na sobie jego ciężkie spojrzenie.

## 4.

# Vance

Na poniedziałkowe zajęcia przychodzi z kaczem mordercą.

To sprawia, że nie tylko mam awersję na światło, a głowa łupie mnie, jakby zagnieździł się w niej zespół deathmetalowy, lecz także jestem jeszcze bardziej nietowarzystki niż zwykle. Co oznacza, że jeśli zazwyczaj do nikogo się nie odzywam, to dzisiaj łypię na wszystkich spode łba, jakbym zamierzał zrobić komuś krzywdę.

Ludzie gapią się na mnie po drodze i nie wiem, czy to przez to, jak wyglądam, czy przez te idiotyczne plotki, które rozpuściła o nas Naomi. Parker jak zwykle nie umie trzymać języka za zębami, kretyn jeden. Nigdy jednak nie przejmowałem się zbyttnio opinią innych o mnie, więc olewam ciekawskie spojrzenia i wchodzę do auli, gdzie za chwilę rozpoczną się najgorsze zajęcia z całego tygodnia. Po nich głowa na pewno rozboli mnie jeszcze bardziej.

W zasadzie nawet nie chciałem wczoraj pić. To wina Westona, że zaciągnął mnie na jakąś imprezę. A kiedy już zacząłem, trudno było przestać. Grałem w beer-ponga i opędzałem się od Katie Willis, która chyba założyła się z koleżankami, że poderwie największego ponuraka na uczelni. Cóż.

Nie udało się.

Zatrzymuję się w przejściu między rzędami i rozglądam po auli. Zazwyczaj staram się przychodzić jako jeden z ostatnich, żeby wybrać sobie dobre miejsce z dala od innych ludzi, ale z dobrym widokiem. Jedynym plusem tych pieprzonych zajęć jest fakt, że ona też na nie chodzi. Dostrzegam jej blond czuprynę w jednym z pierwszych rzędów, więc jak zahipnotyzowany ruszam w jej stronę. Siadam rząd wyżej, nieco po prawej stronie, żeby mieć dobry widok na jej profil, po czym zajmuję

również oba miejsca po dwóch moich stronach, kładąc tam książki i plecak. Nie mam ochoty na towarzystwo.

Jak zwykle.

Kiedy byłem młodszy, moja nadmiernie ambitna matka miesiącami diagnozowała mnie na autyzm. Ku jej niezadowoleniu psychologzy stwierdzili jedynie, że jestem introwertyczny. Chyba wolałaby zrzucić moją niechęć do socjalizowania się z ludźmi na zaburzenie, które mogłaby znienawidzić. Bez niej może nienawidzić tylko mnie, a to z pewnością uważa za niedopuszczalne.

Jakaś dziewczyna dosiada się do Josie, a ona podnosi głowę i uśmiecha się do niej promiennie. Dużo bym dał, żeby chociaż raz uśmiechnęła się tak do mnie, ale to wątpliwe. Od tego uśmiechu jak zwykle zapiera mi dech. Jednak gdybym stanął przed nią i spróbował coś powiedzieć, pewnie tylko bym się zbliżył, więc już wolę robić z siebie nietowarzystkiego gbura.

Josie Maxwell-Spencer jest najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Chodzimy razem na psychologię społeczną i od pierwszego spojrzenia na nią wiedziałem, że nie chcę innej dziewczyny. Tak naprawdę jednak nigdy nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Pochodzimy z różnych światów: ona jest ukochaną córeczką bogatych rodziców, którą na uczelni wszyscy kochają wcale nie za pieniądze, a za jej usposobienie, a ja? Ja wiecznie trzymam się na uboczu. Ona nawet nie spojrzała na mnie dwa razy.

Nic dziwnego, że wszyscy lgną do Josie. Jest cudowna. Piękna, promienna i słodka. Nigdy nie słyszałem, by wobec kogoś źle się zachowała. Nigdy na nikogo nie krzyczała. Wszyscy w Yarrow ją lubią.

A ona niestety lubi swojego chłopaka koszykarza.

Nie wiem, kiedy zaczęła z nim chodzić, ale byli już razem, kiedy pierwszy raz pojawiła się na Yarrow. Chociaż z pewnością większość wolnych gości na uczelni chciałaby się z nią umówić, Josie zawsze stawiała sprawę jasno. Jest zajęta.

Oczywiście, że musiałem dostać fioła na punkcie zajętej laski.

Doktor Brown, która prowadzi zajęcia z psychologii społecznej, wchodzi w końcu do auli i zaczyna wykład, ale prawie nie zwracam na nią uwagi. Zapisuję jakieś notatki w laptopie, ale moje myśli krążą głównie wokół Josie. Pozwalam sobie na to, bo to jedyny moment w ciągu całego tygodnia, gdy się widzimy. Mamy razem tylko te jedne zajęcia.



Niestety.

Na szczęście w pewnym momencie smętne rozmyślenia przerywa mi wibracja mojej komórki. Spoglądam na nią, by stwierdzić, że na wyświetlaczu pojawiają się powiadomienia z rozmowy grupowej z moimi współlokatorami.

**Parker: The Break dzisiaj? Chłopaki z drużyny się wybierają, możecie dołączyć.**

Krzywię się. Wieczór w towarzystwie bandy futbolistów i ich dziewczyn? Jakbym nie miał nic lepszego do roboty.

**Vance: Odpadam, trening**

**Parker: No my też. Dlatego idziemy PO nim.**

Mogą iść nawet w trakcie. Mam to gdzieś.

**Vance: Chcę jeszcze potem poćwiczyć na siłowni, a potem będę zbyt zmęczony na cokolwiek innego poza położeniem się do łóżka.**

**Parker: Lepiej od razu powiedz, że masz dość ludzi.**

**Vance: Mam dość ludzi.**

**Weston: Parker idzie na imprezę, a Vance zaszywa się w swoim pokoju? Nowe, nie znałem.**

**Vance: Sprdl**

Chociaż odnoszę się do nich szorstko, to dwaj faceci, z którymi jestem najbliżej – nie tylko na tej uczelni, ale w ogóle. Moi jedyni przyjaciele. Z Parkerem znam się jeszcze ze szkoły średniej; mimo że jestem od niego rok młodszy, zakumplowaliśmy się, bo mieszkaliśmy obok siebie. Potem on poszedł do Yarrow i trafił do jednego pokoju w akademiku z Westem, a rok później ja do nich dołączyłem i razem wynajęliśmy dom. Od tej pory mieszkamy tu we trzech, mimo że teoretycznie mogliśmy dodać kogoś jeszcze, bo jeden pokój stoi pusty. Zważywszy jednak na naszą specyficzną relację, postanowiliśmy tego nie robić. Jakoś dajemy radę z rachunkami.

Dobra, głównie dlatego, że moi rodzice są dziani.

**Weston: Ja chętnie z tobą pójdę. Emily mnie wystawiła.**

**Weston: Chyba zaczęła mnie unikać. Zgadnijcie dlaczego?**

Przewracam oczami.

**Vance: Przez to, co Parker nagadał Naomi?**

**Weston: One się znają, Vance. Gadają ze sobą.**

**Parker: Spierdalajcie. Nic takiego jej nie powiedziałem.**

**Weston: Powiedziałeś dość, debilu.**

Doktor Brown zaczyna zadawać jakieś pytania, więc na chwilę wracam do rzeczywistości, żeby nie wyjść na kretyna. Słucham, jak Josie odpowiada na jedno z nich czystym, spokojnym głosem, i skupiam się bardziej na jej tonie niż na słowach. Prawdę mówiąc, nie obchodzą mnie te zajęcia. Pewnie zrezygnowałbym z nich już rok temu, gdyby nie fakt, że ona tu jest. Mam dwa inne hobby, z którymi wiąże swoją przyszłość, i gdybym nie musiał studiować cegokolwiek, żeby wciąż tu być, już dawno olałbym niektóre przedmioty.

Ale lubię Yarrow. Dzięki wyprowadzce z rodzinnego domu mogłem przynajmniej na chwilę przestać myśleć o tym, jak wielkim rozczarowaniem okazałem się dla mojej matki organizującej imprezy charytatywne.

Jakoś wytrzymuję do końca zajęć. Kiedy doktor Brown zadaje nam lekturę na kolejny wykład i zaczyna się zbierać, oddycham z ulgą. Za chwilę będę mógł wyjść za Josie z auli i na tydzień znowu o niej zapomnieć...

– Zanim się rozejdziecie, chciałabym tylko krótko opowiedzieć wam o szczegółach dotyczących pracy semestralnej – mówi w pewnym momencie doktor Brown, gdy jestem już spakowany. – Zamierzam podzielić was na czteroosobowe grupy, żebyście mogli w nich opracować jedno wybrane zagadnienie. Chciałabym zrobić to teraz, zanim się rozejdziecie, dzięki temu będziecie mieć czas, żeby się umówić, spotkać i pogadać o wymogach, które prześlę wam mailowo.

Och, super. Praca zespołowa. Uwielbiam.

Doktor Brown rusza przez aulę i zaczyna dzielić studentów na podstawie tego, gdzie siedzą i z kim. Dostrzegam to już z daleka i zamieram, nie wiedząc, co robić. Chcę się niepostrzeżenie wymknąć ze swojego miejsca, ale jestem tak wysoki, że doktor Brown odnajduje mnie wzrokiem, gdy tylko odrobinę się podnoszę. Rzuca mi ostre spojrzenie, od którego natychmiast odechciewa mi się protestować, i siadam z powrotem.

A potem nadchodzi to, czego się obawiałem.

– Dziewczyny, zapraszam do chłopaków rząd wyżej. – Doktor Brown wskazuje najpierw na Josie i jej towarzyszkę, a potem na mnie i koleśia siedzącego parę krzeseł ode mnie. Wykładowczyni uśmiecha się do nas, jakbyśmy wygrali los na loterii. – Macie szczęście. Panna Maxwell-Spencer ma świetne wyniki w nauce. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że jej matka

prowodzi jeden z najbardziej renomowanych gabinetów psychoterapeutycznych w Los Angeles. Powodzenia!

Odchodzi, zostawiając mnie z mnóstwem pytań.

Josie jest z Kalifornii? W porządku, trochę wygląda na kalifornijską dziewczynę z tymi blond włosami i opaloną, gładką skórą, ale dlaczego zdecydowała się na studiowanie po drugiej stronie kraju? W Los Angeles też mają dobre uniwersytety.

Dziewczyna wraz ze swoją towarzyszką odwracają się do nas i posyłają nam uśmiechy. Jestem w stanie patrzeć tylko na Josie, ale czuję się tak, jakbym nie mógł oddychać. Jakby na mojej klatce piersiowej zaciśnięta się stalowa obręcz.

Mamrocze coś pod nosem, po czym zbieram plecak i wstaję, żeby wyjść z auli. Nie wiem, w jaki sposób skontaktuję się potem z moją grupą, ale mam to gdzieś. Mam gdzieś całe te zajęcia. Potrzebuję świeżego powietrza.

– Zaczekaj!

Jestem już na korytarzu, gdy słyszę za sobą ten czysty, jasny głos. Zatrzymuję się odruchowo, bo jestem jebnięty, i odwracam, by dostrzec biegnącą w moim kierunku Josie. Ma na sobie granatową plisowaną spodniczkę i cienki biały golf, a do tego sneakersy. Na jednym z kolan widnieje spory plaster, ale wyraźnie w ogóle się tym nie przejmuje. Związane w wysoki kucyk blond włosy kołyszą jej się na boki.

Dziewczyna zatrzymuje się tuż przede mną. Rany, jaka ona jest malutka. Musi ostro zadrzeć głowę, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Jestem Josie. – Wyciąga do mnie dłoń, uśmiechając się słodko. – Jeśli się spieszysz, zostaw przynajmniej swój numer, żebyśmy mogli cię namierzyć.

Odruchowo podaję jej dłoń, choć nie mogę wykrztusić z siebie ani słowa. Inna laska na jej miejscu byłaby już wkurzona, że po ogłoszeniu grupy wyszedłem bez słowa jak ostatni debil, ale nie ona. Bo ona taka już jest.

Jezu, Yarrow nie zasługuje na Josie Maxwell-Spencer.

– Vance – wykrztuszam w końcu, ściskając jej palce nieco dłużej, niż powinienem. Ma cudownie gładką, miękką skórę, a jej drobna dłoń zupełnie znika w mojej. – Sorry.

– Nic się nie stało. – Znowu się uśmiecha. Boże. Czy ta dziewczyna kiedykolwiek bywa ponura? – Słuchaj, te zajęcia są dla mnie naprawdę ważne. Zależy mi na dobrej ocenie. Jak sam słyszałeś, muszę sporo udowodnić. –

Śmieje się dźwięcznie, a ja nadal nie potrafię puścić jej dłoni. Gapię się na nią jak idiota. – Zrozumiem, jeśli nie będziesz chciał przedstawić prezentacji przed całą grupą...

Jezu, będziemy musieli to robić?

– ...ale liczę, że przynajmniej weźmiesz udział w jej przygotowaniu – trajkocze dalej. – Podzielimy się pracą sprawiedliwie, obiecuję.

Podnoszę brew i postanawiam wreszcie coś powiedzieć.

– Wzięłaś na siebie rolę liderki grupy?

– A co, ty chcesz zostać liderem? – pyta prowokacyjnie, na co odruchowo kręcę głową. – Tak myślałam. Alana i Milo nie mają nic przeciwko. Stworzę nam grupę na WhatsAppie i ustalimy wspólnie termin spotkania w bibliotece. Zastanowimy się wtedy, co dalej. W porządku?

Kiwam głową i w końcu puszczam jej dłoń. Jeśli Josie zauważyła, że trzymałem ją jak ostatni świr – *jak mogłaby nie zauważyć?* – to nie daje po sobie nic poznać. To naprawdę uprzejma dziewczyna.

Wyciąga rękę w moim kierunku, a kiedy posyłam jej pytające spojrzenie, w jej niebieskich oczach błyszczy wesołość.

– Twój telefon – mówi. – Musisz mi go dać, żebym mogła wpisać ci mój numer. A potem ty to samo zrobisz mnie.

*Mógłbym zrobić jej dużo więcej...*

Gdyby tylko nie miała chłopaka, a ja nie byłbym introwertycznym ponurakiem.

– Jasne – mamrocze, wyciągając telefon, który potem jej podaję.

Wpatruję się w nią, podczas gdy palce Josie szybko przebiegają po ekranie, zapisując mi jej numer. Jezu. Będę miał w telefonie numer do Josie Maxwell-Spencer.

Czy to się dzieje naprawdę?

Zamiast dać mi potem swoją komórkę, Josie puszcza sobie sygnał i w ten sposób zdobywa mój numer. Na koniec chowa telefon do bocznej kieszonki plecaka, z której wyjmuje lizaka, odpakuje go i wsuwa sobie do ust.

Chryste.

– To widzimy się niedługo – oznajmia radośnie, po czym odwraca się, by dołączyć do czekającej na nią Alany. – Pa, Vance!

Znika, zanim zdążę wykrztusić z siebie pożegnanie.

# PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

**Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!**

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA  
**Helion** 

# Ma za sobą bolesne rozstanie Straciła dach nad głową Jak przetrwa drugi rok na uczelni Yarrow?

Rozważnej i spokojnej Josie Maxwell-Spencer nagle załamuje się świat. Wieloletni chłopak Troy właśnie wystawił ją do wiatru. I to dosłownie – nie doś, że obwieścił Josie koniec ich związku, to jeszcze wyrzucił ją z mieszkania na samym początku roku akademickiego. A w tym czasie naprawdę trudno znaleźć sensowne lokum w niewielkim Chester, gdzie mieści się uczelnia Yarrow.

Klitka, którą ostatecznie udaje się Josie wynająć, do komfortowych nie należy. Jest ciasna, paskudna i brudna, jedyne okno w pokoju ma kratę, a wynajem kosztuje fortunę, ale... Ale jest. Zdesperowana dziewczyna wprowadza się do nowego mieszkania i zamierza jakoś się w nim przemęczyć. I może nawet dałaby radę, gdyby budynku nie zniszczył wybuch gazu.

Na szczęście okazuje się, że u trzech chłopaków z Yarrow czeka wolny pokój. Parker Lane, Vance Crawford i Weston Reyes gotowi są odstąpić go lubianej przez wszystkich dziewczynie. Problem w tym, że o przyszłych współlokatorach Josie opowiada się w Yarrow bardzo niepokojące rzeczy. Podobno lubią dzielić się dziewczynami...

**Nowa powieść Ludki Skrzydlewskiej to gorący i uroczy spin-off serii new adult  
Prawda o Yarrow z motywem reverse harem.**

## Patroni medialni:



**beyA** 18+  
beyA.pl

ebook dostępny na:

**ebookpoint**

ISBN 978-83-289-2196-2



9 788328 921962

Cena: 49,90 zł